

RENE BURES.

Zil=X...

181 tłumaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Mogliśmy przez chwilę przy świetle świecy, zdać sobie sprawę z rozkładu mieszkania. Szeroki korytarz, w którym znajdowaliśmy się, przedzielał na dwie części pierwsze piętro. Z jednej strony był pokój, do którego weszliśmy przez okno, obok zaś znajdował się drugi pokój również pusty, którego drzwi były teraz uchylone.

Z drugiej strony korytarza widniało dwoje drzwi, prowadzące zapewne do mieszkania kapitana de Limandoux. Dosirzegłem, że drzwi te były zamknięte i nałożone pieczęciami. Dalton również zauważył ten ważny dla nas szczegół. Pociągnął on nas teraz do drzwi znajdujących się najdalej schodów. Słyszałem jak rękami szukał czegoś w ciemnościach. Zapewne badał wytrzymałość zamków u drzwi.

Dobiegł mnie po chwili suchy trzask... Pieczęcie pękały pod jego silną ręką. Wszystko co we mnie było z zasad poszanowania władzy – zamario teraz w dreszczu, który przebiegł wszystkie moje członki. Już od godziny zresztą żyłem po za nawiasem prawa ryzykując wolność swoją i opinię z lekkim sercem i sumieniem. Czyż nie działaliśmy zresztą w dobrych zamiarach, dla sprawy sprawiedliwej i czystej?

Dotąd jednak nie odczułem jeszcze całej grozy naszego przedsięwzięcia zuchwałego. Ale teraz, w tej chwili ten zgrzyt suchy odpadających pieczęci, przejął mnie wewnętrznym dreszczem.

Dalton zapewne nie odczuł skrupułów tego rodzaju. Doceniał ważność swojego czynu i nie chciał tracić czasu na zbyteczne rozumowania.

Energicznym ruchem pchnął drzwi i weszliśmy do mieszkania.

– Doskonale! – szepnął z zadowoleniem – drzwi nie były nawet na klucz zamknięte.

Chciałem je zamknąć, ale on ruchem ręki powstrzymał mnie.

– Zostaw je otwarte – rzekł zapalając zapalniczkę. Czegoż mamy się teraz lękać? Ci ludzie, tam na dole, wiedzą już zapewne o naszej obecności tutaj. Jeżeli wpadną, to lepiej niech się to stanie przy świetle a nie w ciemnościach. Chciałbym tylko wiedzieć, czy naprawdę chcą nas podejść z nienacka. Numer 42 tam czuwa. Dalej więc do roboty! Już teraz możemy sobie pozwolić na zrobienie trochę hałasu!

Poszukiwania rozpoczęły się. Dalton, dla udogodnienia tej czynności zapalił nawet ośm świec nietkniętych, pozostawionych w dwóch kandelabrach, stojących na kominku. Przedtem jednak obejrzał je dokładnie, jak również zegar, znajdujący się obok. Nad tym zegarem Dalton zabawił dosyć długo, jak gdyby chciał z wnętrza jego wydobyć jakąś tajemnicę. Rezultatem tego, była kupka śrub, wskazówek i szkiełek, które pozostawił na kominku. Nie przypomniały już one w niczym zegara.

Następnie Dalton ukląkł i zaczął czegoś gorliwie szukać w otworze kominka. Spalił kilka zapalek, wsuwając coraz głębiej głowę w czerniejący sadzą otwór, w końcu przeglądać zaczął palenisko. Pełne było popiołu, czarnego i piałego, miejscami lekkiego, miejscami znowu zbitego w masę. Widocznym było, że różne papiery spalone w nim niedawno zostały.

Dalton nie odrywał od nich oczu. Rozcierał na ręce, wachał, kiwał głową. W pewnej chwili rozrzucił zaczął tę kupkę, z wściekłością jakąś, i znowu brał szczyptę popiołu na ręce przyglądając mu się uważnie.

– Nic się nie dowiem z tego – wyrzekł w końcu powstając. – Spalono w tym kominku parę kilo papieru. A że nie można przypuszczać, aby kapitan de Limandoux uczynił to na chwilę przed niespodziewaną śmiercią – więc uczynić to musiał morderca. – Jest to zdaje się przypuszczenie dosyć trafne chociaż na nie dowodu rzeczowego nie mam jeszcze.

– Czy pan jest pewnym – odezwał się stary Dambouse, który wyprostowany i nieruchomy stał na środku pokoju – że nie można wycisnąć na większych szczątkach tych popiołów, liter jakichś? Mogłyby one nas naprowadzić na stwierdzenie, jakie były te papiery spalone przez mordercę kapitana de Limandoux.

– Tego właśnie szukałem odparł Dalton. Ale ten morderca, musi być ostrożnym człowie-

klem. Wiedział dobrze, że spalone papiery zachowują często swój kształt pierwotny i że piśmo ukazuje się na szarym tle. Kiedy spalił już wszystko, rozprószył, zniszczył te popioły. Pozostawił proch tylko.

– Wiemy chociaż to – dorzuciłem – że mordercy zależało na zniszczeniu i spaleniu jakichś papierów ważnych dla niego.

– Zapewne. Mogliśmy jednak spodziewać się tego. Tak, to oczywiście. Morderca nie tylko chciał zabić kapitana de Limandoux. On chciał tu coś zrobić, schować lub zniszczyć inaczej nie powiększałby trudności przychodząc go zabijać we własnym domu.

– Pan ma na myśli Jerzego Dambouse – zapytał stary.

– Nikogo nie mam na myśli. Lepiejby jednak było dla niego, gdyby nie było tych spalonych papierów – oto moje przekonanie.

– Jednakże.

– Szukajmy dalej – przerwał Dalton. – Nie mamy czasu na rozmowy. Muszę tu zebrać dowody ważne.

– Czy możemy ci w tem być pomocni? – zapytałem.

– Nie dotykajcie niczego, zanim ja dotknę, ale przeglądajcie jeszcze raz wszystko po mnie.

Była to praca wymagająca wiele cierpliwości. Dalton przerzucał, oglądał rzecz każdą po kilka razy, podając nam do jeszcze jednego, dokładnego obejrzenia. Wszystko przeszło przez nasze ręce. Dywany, stołki, stoły, szafy, lustra, wszystko składaliśmy w jeden róg. Wkrótce cały pokój był już pusty. Pozostawało tylko biurko i mały sekretarzyk rzeźbiony, zabezpieczony pieczęciami.

Przyszła i na to kolej. Pieczęcie oderwane zostały i Dalton prędko załatwił się ze szufladami, ale w biurku nie znaleźliśmy nic zgoła, ani świstka, ani papierka najmniejszego.

Prześliśmy więc do drugiego pokoju. Była to sypialnia kapitana de Limandoux. W tym to pokoju znaleziono go zabitego, leżącego u stóp łóżka. Policja pozostawiła tu wszystko nienaruszone. Zabrano tylko zwłoki, zakreśliwszy ich zarys kredą na posadzce i zabrano znaleziony przy nich browning, zapomniany przez mordercę. Naznaczony był on jak wiadomo cyfrą 103.000. Była to broń Jerzego Dambouse!

Zabraliśmy się tutaj do dalszej pracy. Dalton przeszukiwał dalej wszystkie kąty, z tym samym uporem i starannością. Przyznaję, że czułem się zniechęconym. Było nieprawdopodobieństwem, aby kapitan de Limandoux, nie ukrywał swoich sekretów listów czy papierów w tym pokoju sypialnym i żeby cała nasza niebezpieczna i śmiała wyprawa speliła na niczem.

W sypialni nie zauważyliśmy żadnych spalonych papierów i popiołów. Kiedy po odsunięciu łóżka, oderwania dywanów, przejrzeniu szaf i komody, nie znaleźliśmy nic szczególnego uwagi, musieliśmy się zgodzić na to, że wysiłki nasze próżne i całe przedsięwzięcie nieudane.

Dalton męczył się jeszcze przy komodzie rozrzucając po podłodze szluki przejrzonej bielizny, stary Dambouse ze świecznikiem w ręce milczący, ponury oświecał całą tę scenę.

W końcu Dalton powstał i obrzucił raz jeszcze pokój cały twardem, przenikliwym spojrzeniem. Widziałem, że był silnie zdenerwowany i zły. Szczęki miał zacisnięte, a oczy jego błyszczały podnieceniem. Te oznaki u człowieka tak jak on umiającego panować nad sobą, wykazywały jawne jego rozczarowanie.

Trzeba było pogodzić się z losem.

Gdzieś za ścianą zegar wybił godzinę.

– Druga godzina, Daltonie – zauważyłem.

– Tak, druga godzina i nic, nic, ani znaku, ani śladu żadnego – odparł mój przyjaciel – Oh! ten morderca, wyszkolonym był w swojej sztuce, umiał zabijać! Tęgi gracz z niego!

– Być może, że w kieszeniach ubrania kapitana były jakieś wskazówki, które policja zabrała. Jak sądzisz?

– Nie róbmy sobie żadnych iluzji. Pomyśl tylko. Gdyby coś podobnego rzeczywiście znajdowało się przy zwłokach, czy sądzisz, że morderca nie usunąłby tego?

– Zostawił jednakże swój rewolwer!

– Tak. I właśnie nie mogę tej rzeczy zrozumieć. Co za nieostrożność!

– Wracamy już?

– Wracamy – westchnął Dalton ciężko.

W tej samej chwili na schodach rozległ się wystrzał.

Numer 42 strzelał do kogoś.

Wybiegliśmy spiesznie z Daltonem na kory-

tarz, Dambouse siedł za nami z świecznikiem w ręce, niewzruszony jak zawsze, błąd w migotliwym świetle świec.

W korytarzu nie było nikogo!

Ujrzelśmy tylko agenta jak przyparty całym ciałem do muru, z wyciągniętym rowolwerem mierzył do kogoś niewidzialnego na schodach.

– Co tam? – zawołał Dalton.

– Byłem pewny, że idą po schodach! – odpowiedział 42

– Byłeś zaatakowany?

– Nie, panie Dalton.

– Więc nie należało strzelać – wyrzekł zimno Dalton. – Słuchaj, coś narobił! Dzwonią w mieście na alarm. Jesteśmy teraz w ładnym położeniu, niema co mówić!

– Niech pan wybaczy – odparł numer 42 potrząsając głową – ale to nie mój wystrzał zbudził ludzi. Oni mogli strzelać, jeżeli chcieli narobić hałasu. A mnie się zdaje, że oni przedsięwzięli wszystkie ostrożności możliwe, aby właśnie hałasu nie robić.

– Cóż więc przypuszczasz, nie rozumię cię – mruknął Dalton z niezadowolaniem.

– Przypuszczam, że niema nikogo w tym domu i że tu wogóle nikogo nie było.

– Do wszystkich dyabłów!

– A jeżeli ktoś był, to miał dosyć czasu pobiedz po pomoc.

– Napróżno! – zawołał Dalton – ogarnięty jakąś gorączką.

Łewą ręką wyrwał świecznik z rąk starego Dambouse i z rewolwerem w ręce prawej rzucił się na schody.

Skoczyliśmy za nim.

Dalton gwałtownym ruchem otworzył jakieś drzwi... potem drugie... trzecie...

Cisza głęboka panowała wszędzie. Tylko tam, gdzieś we wsi dzwon dzwonił na alarm bez przerwy.

Nagle Dalton zatrzymał się. Drzwi jakieś opierały się jego silnej pięści.

– Trzeba wyważyć!

Numer 42 uderzeniem ramienia prędko załatwił się z tą zaporą. Przy łóżku stało mniejsze dziecinne łóżeczko i kołeczka. Koce i koldry wały się na podłodze. Musiano ztąd w popłochu uciekać. Dalton rozejrzał się wokoło i szybkim ruchem podniósł broń do strzału wołając:

– Poświećcie mi!

Tam pod łóżkiem coś poruszało się w ciemności, jakiś kształt niewyraźny i ciemny.

Dobiegło nas zduszone mruczenie i szelest ciała poruszającego się i obijającego o nogi łóżka.

– Ah! – zawołał numer 42 wybuchając nerwowym śmiechem. – To pies!

Biedne zwierzę związane, owinięte prześcieradłem przywiązane było do nogi łóżka. Był to olbrzymi Bernard, który wyrwał się ze swojego więzienia z wściekłym szamotaniem i wysiłkiem.

– Ah! – westchnął z ulgą Dalton. – Teraz wiemy już wszystko! Ten lajdak pobiegł po pomoc! Zaledwie mamy czas uciec. Rzućcie świecę i uciekajmy ztąd jak najprędzej.

Mówiąc to Dalton rzucił się na ciężkie drzwi wejściowe. Widziałem jak gorączkowo poruszał grubą, żelazną klamką.

– Chodź ze tu – zawołał dziwnym, zduszonym głosem, zwracając głowę w stronę agenta.

Ujrzałem z kolei jak numer 42 napróżno naciskał i szarpał klamką.

– Drzwi są na klucz zamknięte – wyrzekł po chwili. Nie dostaniemy się tędy.

– Trzeba otworzyć!

– To jest niemożliwe!

– Wyważ drzwi!

– To jest niemożliwe, proszę pana – powtórzył numer 42. – Te drzwi mają chyba sto lat. Kute mocno i pewnie. Przy fortcach lepszych nie mają!

– Przekleństwo! – syknął Dalton! – Niema co! Do okien! Słyszysz do okien!

Rzuciliśmy się wszyscy do pierwszego okna z brzegu i odskoczyliśmy zaraz z okrzykiem wściekłości. U okna zasunięte były mocne, żelazne okienice. Ktoś naumyślnie zakreślił w ten sposób, grubym na palec drutem, że nie było można marzyć o przecięciu go bez pomocy stosownych narzędzi. Można było teraz przewidzieć łatwo, że wszystkie okienice przy oknach parterowych były w ten sam sposób zabezpieczone.

Przebiogiliśmy wszystkie pokoje jak szaleni, usiłując pomimo wszystko przedostać się przez